



MALY PRZEGŁAD

PISMO DZIECI I MŁODZIEŻY

WYCHODZI CO PIĄTEK RANO KORESPONDENCJE I MATERIAŁY

KIEROWAĆ NALEŻY DO REDAKCJI „MAŁEGO PRZEGŁADU” NOWOLIPKI 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 39 (4477) „NASZEGO PRZEGŁADU”

DZIECKO I WOJNA NIE WIERZĘ W NIEWIARĘ

„A. B. C.” ogłosiło ankietę p. t. „Tajemnice najmłodszych”. M. in. zadano dzieciom pytanie: „Cobyś zrobił, gdyby nowa wojna wybuchła?”

Ponieważ na 23 dzieci troje odpowiada „nie wiem, nie myślałem” i pięcioro wyraża chęć wyjazdu, ucieczki, względnie skrycia się w taką dziurę, „żeby mnie kule nie dosięgnęły”, — p. Marja Rzętkowska w numerze 364 „A. B. C.” wystąpiła z alarmującym artykułem pod powyższym tytułem.

Autorka podkreśla, że „33 proc. odpowiedzi stwierdza zupełny brak najbardziej elementarnych uczuć patriotycznych u dzieci”, poczem zapytuje i jednocześnie odpowiada:

„Czemu przypisać należy ten brak cech męskich u tych kilku chłopców, będących przecież w latach, gdy zazwyczaj przyrodzona wiekowi dziecięcemu wojowniczość przejawia się jaknajbardziej? — Przyczyny są według mnie trzy. Przedewszystkiem brak świadomości u rodziców, co powinno dać dziecku wychowanie rodzinne; następnie brak organizacji, w której wychowywaliby się młodzi polacy na obywateli — żołnierzy, wreszcie ogólna atmosfera niezdrowego pacyfizmu, szerzona przez swobodnie działające na terenie Polski stowarzyszenia o mętne brzmiących nazwach (różne „zblżenia międzynarodowe”, „ligi pokoju”, „ligi praw człowieka” i t. p.), niewiadomo przez kogo subsydiowane i w czym interesie działające, bo napewno nie w interesie Polski.”

Mój Boże! Żeby taka „abecuga” niewiasta nie znała abecadła:

a) — że „a” nie może być jednocześnie „b”. Jedno z dwojga: albo wojowniczość jest wrodzona albo wpojona. Natomiast rozprawianie o przyrodzonej wojowniczości, której niema i braku odpowiedniej organizacji i wychowania — budzi tylko litość.

b) — Należy wprawdzie dowiedzieć, że wojowniczość i „elementarne uczucie patriotyczne” — to jedno i to samo, dopiero wtedy można zatknąć patriotyzm na bagnety i wygrażać nim w kierunku „niezdrowego pacyfizmu”.

c) — Uczciwy publicysta wskazuje odrazu, jeśli wie, kto subsydiuje „stowarzyszenia o mętne brzmiących nazwach”, albo milczy. Nieuczciwy, ale biegły w insynuacjach inwektywista rzuci potwarz w ten sposób, że się przyczepić nie można. Pani Rzętkowska zaś miała szczere zamiary rzucenia insynuacji, ale zabrakło śliny: wskazała palcem w nawiasie na instytucję, oświadczyła głośno, że są subsydiowane, tylko niewiadomo przez kogo. Uczyniła wypadek, który osłabił ją moralnie i jednocześnie odsłonił do cięcia prawego, bo za takie powiedzonko siedzi się niekiedy w ciupie dwa tygodnie — po uwzględnieniu oczywiście nieudolności, jako okoliczności łagodzącej.

Dalej pisze p. Rzętkowska, że „instynkt narodowy trzeba

dziecku „podsycać świadomości i konsekwentnie”, bo:

„Pogląd liberalny, który każe pieczołowicie chronić dziecko od podsycania w niem (jak się p. Rzętkowska rozkoszuje tem „podsycaniem”) jego najlepszych i najbardziej naturalnych instynktów narodowych nazywa się dziś „rozbrojeniem moralnym” a jest poglądem najbardziej niemożliwym, jest poprosu niszczeniem darowanych cech duszy i umysłu”.

Znów pomieszanie pojęć! Z jednej strony okazuje się, że „naturalny” instynkt narodowy trzeba świadomości i konsekwentnie „podsycać”, inaczej zaniknie, z drugiej — utożsamia się uczucie narodowe z militarystką. — Nie jesteś członkiem wspólnoty narodowej, jeśli głęboko kochasz swój kraj, ale nienawidzisz wojny. Musisz, chłopcze, maszerować, pobrzekiwać szabellą, musisz pragnąć wojny, aby polamać gnaty zagranicznym chłopcom, — wtedy dobra pani Marja pograszcze cię po głowie i uzna za rodaka.

Biada ci, jeśli się jej nie usłuchasz!

„Jednostki, szerzące ten cikiły pacyfizm winny być karane, jako przestępcy przeciwko interesom Narodu i całości państwa, a majątek ich skonfiskowany na cele wojskowe”.

Całe szczęście, że nie robi wiele, kto językiem miele, choćby język miał, jak na pytel:

„Niezdrowy pacyfizm szerzy się w państwie naszym, szerzą go stowarzyszenia i pisma, zwłaszcza pod wpływem żydów, ulega jego sympatii wiele Polaków, nieodpornych na wytwory żydowskiego ducha”.

Dotychczas sądziłem, że pacyfizm jest wytworem ogólnie-

ludzkiego ducha. Jeśli jednak w tym „wytworze” zmaterializowała się czasika pracy przedstawicieli mojego narodu, to jestem z tego tylko dumny.

Tak jest, droga pani, jak mawiał wojak Krukowski. Jestem dumny, że wyznaję prawdy, głoszone przez najszlachetniejszych ludzi wszystkich narodów.

Snując swoją teorię wychowania narodowego, powołuje się p. Rzętkowska na Italię, gdzie „taką organizacją wychowawczą obejmują dzieci od lat 8” i na Japonię, gdzie „od szóstego roku życia wychowuje się dziecko na przyszłego żołnierza, w atmosferze niezłomnej wierności dla narodu”.

Tu nareszcie postawiono kropkę nad i. Dotychczas bowiem można było sądzić, jakoby przeżona pani walczyła z rękodem zanikaniem „cech męskich”, oczywiście błędnie, bo niezawsze i nie tylko żołnierz jest uosobieniem męskości, że np. odwagę i dzielność hartuje także skauting, turystyka, sport. Ale powoławszy się na przykład dwóch tak charakterystycznych państw, autorka wyjaśnia, że jej właściwie nie o to chodzi, ale o militarystkę młodzieży przez podobne organizacje.

Wiemy już, jak to się robi i ku czemu zmierza. Koszulkę, karabin, obozy i manewry, odpowiednie pogadanki i lektura, aż młodzieży zgrubieje naskórek, schamieje dusza i zaświerzbą ręce. Wtedy można spuścić ze smyczy ułożone do polowania zastępy młodzieży na własny kraj i — upolować dyktaturę.

K u b a H.

KRYTYCZNA LEKCJA ŁACINY

Nim przystąpię do właściwego tematu, powiem kilka słów o stosunku klasy do naszej „magistry” pani D. (nie podaję imion, bo nie chcę, aby koleżanki i koledzy z innych szkół dowiedzieli się, gdzie miała miejsce owa krytyczna lekcja łaciny).

Gdy w zeszłym roku weszła po raz pierwszy do klasy pani młoda, nieśmiała (dlatego, że jeszcze nigdy przedtem nie udzielała) w czarnym alpagowym fartuchu, wydawała nam się bardzo niemila. Ale szybko przyzwyczailiśmy się do naszej nowej nauczycielki, i pod koniec zeszłego roku szkolnego stała się ulubienicą klasy.

Podczas wakacji kolonistki prowadziły z nią serdeczną korespondencję. W tym roku przybyło do klasy bardzo dużo nowych uczennic. One nie mogły polubić odrazu „magistry”, a po zostały nie uczyły się tak dobrze, jak w roku zeszłym, dlatego stosunek między nami, a naszą ukochaną pogorszył się troszeczkę. Ale trwało to zaledwie dwa, trzy tygodnie. Stare uczennice żyły się z nowymi, przekonały je co do swej ulubienicy, no i od tego

czasu lekcje łaciny miały „słodko”.

Z każdym dniem, z każdym uśmiechem, dowcipem „magistry” wzrastało grono jej wielbicieli. Prawie po każdej lekcji bierała się obok niej grupa uczennic i rozmawiało się bardzo mile. Zwykle takie rozmowy przerywał dzwonek na lekcję następną, i niewymownie przyjemne słowa „magistry”:

— Bądźcie mi zdrowe!

Tego dnia, kiedy rozegrała się owa przykra scena na lekcji łaciny, byliśmy w wyjątkowo dobrym humorze. Gdy po dzwonku pani D. weszła do klasy, rzadko która siedziała na miejscu, gdzie niedawno leżała jeszcze skórka pomarańczy, które się ostatnio bardzo rozpowszechniły. Słowem bałagan.

Panią D., która była tego dnia w przeciwieństwie do nas w wyjątkowo złym humorze, taki wygląd klasy zdenerwował jeszcze bardziej. I tak bardzo zdenerwowana przystąpiła do prowadzenia lekcji.

Ponieważ byliśmy, jak już wspominałam, w wspaniałym humorze, chcieliśmy, aby na lek-

cji było także wesoło. I tu znów, jak prawie we wszystkich przykrościach, wyrządzonych nauczycielstwu, powtarza się sprawa niewyrozumiałości ucznia względem nauczyciela. Nie rozumialiśmy, że nasza ukochana ma inne zmartwienia, nie dotyczące nas absolutnie, że nie może być zawsze w dobrym humorze, że trzeba się do niej także dostosować. Ale największy bałagan robiły właśnie najgorętsze jej wielbicielki, między którymi byłam ja także.

Zrozumiałyśmy swój błąd dopiero wtedy, gdy pani D. w najwyższym stopniu zdenerwowania, po wyprowadzeniu z klasy jednej z uczennic, wyszła sama, rzucając nam słowa:

— Ponieważ nie mogę ukarać całej klasy, więc sama wychodzę.

Następnego dnia po naradzeniu się z wychowawczynią postanowiłyśmy nie przepraszać naszej ulubienicy, której wyrządziłyśmy tyle przykrości, ale zachowywać się na lekcjach idealnie

to ludzie. Bóg, to istota najwyższa. Ludzie mogą kupczyć Bogiem, ale brudzą tylko siebie. Tak samo należałoby potępić każdą ideologię (bo wiara jest ideologią), gdyż często głosiciele jej w życiu prywatnym są złodziejami, fałszerzami, pozerami.

Nieugruntowana niewiara wysmiewa, potępia utwory, napisane pod wpływem uczucia wielkiej miłości do Boga. Dla niej Biblia, Talmud itd. — to broszurki. Nie rozumie ich piękna, mądrości, trwałości. Bibliję czyta się pacytliwie. W pamięci zostają tylko momenty, że jakiś tam król

kazał swojej żonie tańczyć nago w obliczu biesiadników, że żona Lota była zbyt ciekawa itp. Cała treść dydaktyczną, historyczną, cały dział, poświęcony miłości bliźniego — uznają za niepotrzebny balast, który należy z głowy wyrzucić.

Na takim gruncie płytkości, nie zrozumienia, błędnego utożsamiania Boga z wadami jego wyznawców wyrasta najczęściej spotykana wśród młodzieży — Niewiara.

Nie poruszam istoty sprawy, nie przytaczam argumentów za i przeciw, bo wszelka dyskusja na temat, czy Bóg istnieje lub nie, jest bezcelowa. Na każdy dowód zaprzeczający można znaleźć potwierdzający lub odwrotnie, i tak walcować bez końca. To kwestia wyłącznie uczucia i sumienia, kwestia rzetelnego rozrachunku z własnym ja.

I piszę właśnie dlatego, że nie widzę najczęściej tego rozrachunku, tej sumiennej wnikliwości wgląd swojej jaźni.

Natomiast dyskutować z nieliczną grupą młodzieży, której niewiara wypływa z głębokiej analizy — nie mogę. Może dlatego, że moja Wiara, a ich Niewiara wyrosły z jednej gleby — gleby ciężkich chwil zwątpienia.

Tadeusz B-ski.

Książ, szames, melamed, — cji było także wesoło. I tu znów, jak prawie we wszystkich przykrościach, wyrządzonych nauczycielstwu, powtarza się sprawa niewyrozumiałości ucznia względem nauczyciela. Nie rozumialiśmy, że nasza ukochana ma inne zmartwienia, nie dotyczące nas absolutnie, że nie może być zawsze w dobrym humorze, że trzeba się do niej także dostosować. Ale największy bałagan robiły właśnie najgorętsze jej wielbicielki, między którymi byłam ja także.

Zrozumiałyśmy swój błąd dopiero wtedy, gdy pani D. w najwyższym stopniu zdenerwowania, po wyprowadzeniu z klasy jednej z uczennic, wyszła sama, rzucając nam słowa:

— Ponieważ nie mogę ukarać całej klasy, więc sama wychodzę.

Następnego dnia po naradzeniu się z wychowawczynią postanowiłyśmy nie przepraszać naszej ulubienicy, której wyrządziłyśmy tyle przykrości, ale zachowywać się na lekcjach idealnie

cicho. Jednak nastrój był bardzo nieprzyjemny. Rozpieszczonej przez nas „magistrze” nie było widocznie tego dosyć, aby powrócić do dawnych stosunków.

Jest jeszcze bardzo obrażona, na nasze „dziendobry” odpowiada tylko skinieniem głowy, a czasem wcale nie.

Jak już powiedziałam, od zeszłego roku polubiłyśmy ją w dużej mierze dlatego, że jest bardzo wyrozumiała, może najbardziej ze wszystkich nauczycielek. I dlatego prócz zmartwienia i przygnębienia, które ogarnęło klasę, jesteśmy także trochę zdziwione.

Dziwi nas, że pani D. nie porozmawiała z nami o tem, jak zwykle czyniła we wszystkich sprawach. Tak nagła zmiana stosunku drogiej „magistry” do nas jest największą karą, jaką mogłyśmy dostać. Może gdyby wiedziała, jak bardzo żalujemy swego czynu i jak dobrze rozumiemy swój błąd, przebaczyłaby nam. Wobec tego piszę z nadzieją, że przeczyta i zrozumie nas.

W. M.

Z Równego do Cincinnati

Na początku, gdy nie wiadomo jeszcze napewno, wiadomość tę starano się trzymać w tajemnicy. Lecz zadowolając mnie, po paru dniach całe miasto wiedziało, że wyjeżdżamy do Ameryki.

18 listopada na dworcu zebrała się paczka 12 kolegów szkolnych. Wszyscy byli szczerze żartowaliśmy i wyjeżdżaliśmy. W końcu pociąg ruszył. Drogi z Równego do Warszawy, a z Warszawy do Gdyni opisywać nie będę.

W Gdyni nocowaliśmy w obozie dla emigrantów. „Obozem“ nazwano trzy olbrzymie nowoczesne gmachy, wzniesione za miastem w lesie sosnowym. Każde piętro posiada kilka dużych, jasnych sal, w których rzędami stoją wygodne żelazne łóżka. Elektryczność, centralne ogrzewanie, łazienki, wzorowa czystość i porządek. Na podkreślenie zasługuje także bardzo dobry stosunek administracji do żydów — emigrantów, którzy do stawali między innymi specjalne potrzeby.

Nazajutrz o godzinie 12 opuściliśmy „obóz“ i pojechaliśmy na dworzec morski. Po załatwieniu formalności wsiedliśmy na okręt „Pułaski“, stojący na kotwicy w porcie.

Po dwóch godzinach, przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła“ okręt ruszył żegnany przez tłum na brzegu.

„Pułaski“ zabrał około 300 pasażerów, z tego większość trzeciej klasy. Kabiny są bardzo małe — około 3 x 3 m. Mają one po dwa lub po 3 łóżka oczywiście piętrowe. Pasażerowie składali się w większości z chłopów — emigrantów. Ogólna uwaga zwróciła kilku amerykańskich.

Rozrywek nadzwyczajnych na statku nie było. Filmy, które wyświetlano prawie codziennie, również były bezwartościowe. Codziennie natomiast odbywały się danie, które mnie jednak nie bawiły. Naogół cały dzień przebywałem na pokładzie i wpatrywałem się w ciemne fale, zdawało mi się nieskończenie dalekie i głębokie.

W siódmym dniu podróży przeżyliśmy burzę, a nazajutrz mgłę. W czasie burzy co chwila

la fale zalewały pokład i przez okna wlewały się na kryte pokłady. Burza trwała około czterech godzin. W czasie mgły natomiast groziło nam inne niebezpieczeństwo: zetknięcie się i zderzenie z innym okrętem. Aby temu zapobiec, co chwila ryły syreny, które umarłego by z grobu zbudziły. Mówiąc o „umarłym“, mam na myśli prawie każdego pasażera, który sądził, że jest już na tamtym świecie.

Już od pierwszego dnia zaczęto wymiotować. Uciążliwa jest nie tylko jazda przez ocean, ile do stolicy Łotwy. Wprawdzie lekarz pocieszał, że choroba ustąpi po ujrzeniu zdaleka ziemi, tym czasem jednak męcz się, czeka.

Przystanął nasz okręt tylko w Kopenhadze i w Halifaxie. Stał niestety zaledwie parę godzin.

W końcu w 12-ym dniu podróży wpłynęliśmy do portu Nowego Jorku. Ponieważ przybyliśmy w nocy, więc ze statku wypuszczono nas dopiero nazajutrz rano. Ze smukłem a jednocześnie z radością żegnałem statek, na którym spędziłem 13 nocy. Dzięki ci za to, że szczęśliwie przewiozłeś nas ze Starego do Nowego Świata! Żegnaj.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na mnie Nowy Jork, było nadzwyczaj silne; spotęgowało je jeszcze to, że noc w stolicy świata spędziłem w drugim co do wielkości hotelu na świecie — „Pensylwanja“ (mieszkać mieliśmy w Cincinnati, w stanie Ohio, czytaj — Ohajo). Hotel „Pensylwanja“ ma 2.200 pokoi i kilkanaście wind. Jest to 21-piętrowy gmach.

Niestety Nowego Jorku doświadczenie obejrzeć nie mogłem z braku czasu i rozległości tego miasta. Zdażyłem jednak być na Broadwayu, przejechać się kolejką napowietrzną, która jedzie na wysokości dwóch pięter, oraz podziemną kolejką, przechodzącą o 6 metrów pod ulicą.

Z radością dowiedziałem się, że dalej pojedziemy autem nasze go wujaszka. Wogóle zadowolając bardzo dobrym drogim i taniości maszyn jedzie się tu zazwyczaj autem, których jest w Ameryce mniej więcej 20 milionów!

Zrana pakowaliśmy manatki i ruszyliśmy. Pogoda była świetna. Auto, robiąc przeciętnie 60 mil na godzinę, mknęło wśród pól i miasteczek, które ukazywały się co kilkanaście minut. Obiad zjedliśmy w jakimś miasteczku, mniej więcej dwa razy większym od Otwocka, lecz aut jest tam o wiele więcej. Po godzinie ruszyliśmy dalej, a nocowaliśmy w większym mieście Lewingstown. A zrana znów pędziliśmy wstęgą szos.

Lecz widocznie Pan Bóg chciał nas ukarać za grzechy nasze. O 3 godziny od Pittsburga auto uległo katastrofie. Droga była śliska, na skraj auto wpadło na kupę śniegu, i złamały się dwa przednie koła. Na szczęście nie doznaliśmy żadnych uszkodzeń. Napotkany autem musieliśmy jechać do najbliższej stacji kolejowej, a resztę podróży odbyć pociągiem.

To trochę skwasilo nam humor. Przy okazji jednak zobaczyłem, jak wyglądają wagony amerykańskie. Są one wygodniejsze, niż nasze. Niema tu pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Siedzenia są wyściełane zielonym sukniem. Niema również osobowych przedziałów, tylko z dwóch stron są dwa miejsca. Wagony te przypominają nasze tramwaje.

Krajobraz, który mieliśmy przed sobą cały czas, był górzysty. Góry te były bardzo dzikie i skaliste. Z większych miast mineliśmy Pittsburg, fabryczne miasto o 130.000 ludności, położone w centrum zagłębia węgla. Mieszka tu około 35.000 polaków.

W końcu o godz. 9,30 wieczorem przybyliśmy do Cincinnati. Pięknie zabudowane miasto to o 400.000 mieszkańców połączone kanałem z jeziorami Erie, stanowi jeden z najbardziej ożywionych rynków Ameryki.

Pierwszą rzeczą, która wpadła mi w podziw, był dworzec. Jest on podobno najładniejszy w Ameryce i jednym z pierwszych na świecie. Ma on olbrzymią kopułę szklaną. Wewnątrz jest pełno obrazów z życia amerykańskiego. Uwagę naszą zajęła głównie historia miasta w obrazach. A więc przedstawiają one Indian, którzy

LUKSEMBURG

Jeśli kto zna to państwo, to chyba filatelista. Wie on dokładnie, jakie są tam znaczki pocztowe, pozatem... pozatem nic. To też ucieczyłem się bardzo, gdy przy padkowo zetknąłem się z autentycznym luksemburczykiem, młodym dzieńcem o lnianych włosach i niebieskich oczach. Nawiazałem rozmowę.

— Naród nasz liczy 290.000 osób. Zajmują się oni przeważnie rolnictwem i górnictwem. Luksemburg jest księstwem, rządzone przez Wielkiego Księcia oraz parlament, składający się z 47 posłów. Posiadamy też armię, złożoną z 300 żołnierzy — ochotników. Stolicą naszą jest miasto Luksemburg o 50.000 mieszkańców.

— Czy czujecie swą odrębność narodową?

— Naturalnie. Zresztą najlepiej odpowiada na to pytanie historia naszego narodu: byliśmy pod panowaniem austriackim, hiszpańskim, francuskim, belgijskim i niemieckim, pozbyliśmy się w końcu wszystkich rządów obcych, które nie były bogate i konalnie naszego małego kraju. Stanowimy naród, jak wszystkie inne, tylko mały. Rozmawiamy po luksembursku. Jest to mieszanina francuskiego i niemieckiego o swoistej gramatyce. Posiadamy także własny hymn narodowy, zatytułowany „Nasza ojczyzna“. Przytoczę jego treść: „Trzy rzeki ma nasz kraj: Alzette — płynie przez lano, Sauer — przebiega skały, Murel — płynie przez winnice, gdzie słońce robi dobre wino. Oto nasz kraj, dla którego poświęcimy wszystko, oto nasza ojczyzna, którą kochamy ponad życie“.

— Jakie charakterystyczne cechy wyróżniają wasz lud?

— Może się to wyda dziwne, jednakże nie posiada on ani odrębnych strojów, ani też specjalnych zajęć. Zamieszkiwali te okolice, potem pierwszych kolonistów, a w końcu dzisiejsze osobliwości i fabryki, których jest tu bardzo dużo.

Taksówką pojechaliśmy do domu. W parę godzin potem rozkoszowałem się czystą pościelą i snem w nowym naszym domu.

Silas z Cincinnati

(dawniej Salus z Równego)

nych tańców. Ciekawe są pieśni, jakie śpiewa: „Serce kole“ oraz „Mir wele blei wen mat mir sin“ — zostaniemy tem, czem jesteśmy. Chodzi tu o naszą niepodległość.

— Wasze rozrywki?

— Niczem nie różnią się od rozrywek innych narodów europejskich: teatr, kino, koncerty... Sport ma mało entuzjastów.

— Jakie są zabawy waszych dzieci?

— Chowanka, kostki, kupcy, wreszcie bandyci i policjanci. Ostatnia zabawa przemianowana została teraz na „Hitlerowcy i komuniści“.

— Niech mi pan opowie coś o waszym szkolnictwie.

— Szkolnictwo stoi na bardzo wysokim poziomie. Posiadamy jedną, w znaczeniu jednolitości systemu nauczania, szkołę, do której uczęszcza się po ukończeniu 7 lat. Po czterech klasach elementarnych wstępuje się do gimnazjum, które trwa 7 lat. W najmłodszych klasach językiem wykładowym jest luksemburski, potem uczy się po niemiecku, na koniec po francusku. W ten sposób młodzież nasza opanowuje jednocześnie trzy języki. Kto chce kontynuować studia, udaje się na uniwersytety francuskie lub niemieckie. Słucha tam wykładów, egzaminy natomiast składa w Luksemburgu przed naszą komisją.

— Czy posiadacie własną literaturę?

— Niewielką. Epopeją narodową jest „Renart“ (lis), którego autorem jest Michel Rodange. Naszymi głównymi poetami są pozatem Dicks oraz Michel Lenti. Czy wystarczą te informacje? Mam pilną sprawę na mieście.

Rozmowa mój z przerażeniem patrzy na zegar: spóźnił się już o pół godziny. Żegnamy się więc.

Rozmowa była krótka, ale pouczająca. Wiem przynajmniej teraz, że Luksemburg zajmuje się nie tylko fabrykacją marek pocztowych.

D.



B. S.

Z minionych wakacji

(Dokończenie).

Jeszcze zeszłej zimy pani P. przyprowadziła na kolonję kilku chłopów. Tak, żeby było weselej. Tego roku chłopcy ci przyprowadzili kolegów, tamci swoich kolegów, w końcu tośmy mieli chyba 40-tu chłopów. Przychodzili często wtedy, gdy trzeba było i wtedy, gdy nie.

Byli to chłopcy zupełnie porządni, niektórzy inteligentni i dowcipni, inni idjoci, tak bowiem najczęściej dziewczęta określały chłopów, jak to słyszeliśmy już zauważył ktoś w artykule. Ostatni, t. zn. „idjoci“, chcąc nam zaimponować, robili z siebie błaznów. Dziewczęta były z tego zadowolone, chociaż udawały, że ich chłopcy nudzą. Kiedy się jednak chłopcy obrazili, dziewczęta same prosiły, aby przyszli, i w końcu przeprosiły się z nimi.

Całą tę rzeszę chłopów nazwałem z wazkiem zdunofrydor, po ludzku mówiąc z wazkiem zdunów — fotografów — fryzjerów i dorożkarzy. Zdunami nazywałem kilku chłopów dla

tego, że ich przedstawiciel, jak tylko przyszedł, od razu wsadził głowę do pieca, fryzjerami — bo niektórzy z nich mieli włosy ułożone i uperfumowane, fotografami — posiadali oczywiście aparaty, a co do dorożkarzy — to już nasz dodatek. Ładniej brzmi nazwa, gdy kończy się na dor.

Większość zdunofrydorów przyszła na nasz wieczorek sylwestrowy, na wieczór szalu, jak zaznaczyły Marysia i Jadzia w swoim wierszu. Przybyła także pani dyrektorka, pani P. i pani Bela. Goście przywieźli przeszło 100 paczków i dużo słodczy. Patefonu nie mieliśmy, ale przed stawiciel związku fryzjerów grał nam na mandolinie skoczne walczki i sentymentalne tanga. O 12-ej, po zimnych ogniach i watach, rozpoczęła się zabawa, trwająca do szarego ranka, który zastał lewą stronę pokoju rozłażoną, a prawą — uśpioną.

Pisałem już, jak pokochał się panie Lusie. Domyślcie się, że niejedna z nas tzy ukradkiem o cierała na myśl, że panna Lusia

wyjeżdża. Wyjechała nazajutrz po Sylwestrze.

Po południu na spacerze Marysia, Lutka, Gutka, Małgosia, Jadzia i ja ułożyliśmy wiersze, które następnie po odczytaniu wszystkich i przepisaniu na czysto zostały włożone do bombonierki i uroczystie wręczone panie Lusie.

Aktu doręczenia dokonano na stacji. Przerwał go gwizd lokomotyw. Rozległy się jęki, nawet płacz dziewczynek, które uspakając musiał dyżurny na stacji przodownik. Smutne wracaliśmy do willi.

Nie pamiętam, czy zaznaczyłam na początku, że panna Lusie nie przypuszczała, jaką rywalkę będzie miała w układaniu rymów od chwili przyjazdu p. Cecylji.

Ponieważ p. Cecylja była polonistką, zażądała od niej, aby na wszystkie nasze pytania odpowiadała wierszem albo przynajmniej do rymu. Jak się to już przyjęło w środowisku kolonij. Tego panna Cecylja nie po-

trafiła, ale zato nazajutrz odczytała nam całą epopeję, owoc bezsennej nocy. Zachwycone, zwniżyliśmy ją od rymowania w dzień, domagając się wzajemnych utworów.

Drugi jej wiersz był jeszcze lepszy, gdyż miała bogaty materiał, urządziłyśmy bowiem wspólny balagan nocny dla klas piątej i szóstej. Program balaganu: numer pierwszy — dzwony (wykonała Różka, wisząc w szafie na kołku), drugi numer — wojna, trzeci — zwierzynek (słuchowisko, poświęcone zwierzętom domowym — pianie, gdańkanie, rzenie i szczekanie), chrapando, piąty i ostatni — pateron.

Pokazano nam za to „Centos“ — instytut dla niedorozwiniętych umysłowo dzieci. Dowiedziałem się jednak, że tam nie urządzają się podobnych balaganów. Przeciwnie, dzieci zgodnie pracują: chłopcy w warsztacie stolarskim, dziewczynki w pracowni krawieckiej, gdzie zajmuje się niemi 14-letnia Rywka, która bardzo kocha i słucha się, jakgdyby była prawdziwą wychowawczynią. Wszystkie serce ty w zakładzie są zrobione przez wychowanków. Kierownik „Centosu“ objaśnił, jak odbywają się badania lekarskie i badania

inteligencji, w jaki sposób rozwija się dzieci.

Miałem zostać na kolonji jeszcze jeden dzień, ale nie pozwolono nam. Ponieważ pieniądze jeszcze były, postanowiono użyc!

Na śniadanie — dużo szynki, na obiad — cudowny budyń, na podwieczorek ciastka tortowe, czekolada i jabłka.

Po drugim śniadaniu poszliśmy na Meran, wynajęło się sanki i z górki na pazurki.

Tak przyjemnie było mknąć na podskakujących sankach, a potem położyć się, przymknąć oczy i jechać już przez równe pole.

Wieczorem wynajęliśmy cztery pary dużych san.

Było naprawdę rozkosznie. Śpiewaliśmy i echo nam odpowiadało grubym, zachrypniętym głosem. Wszędzie było białe i sanki mknęły.

Byłoby wtedy chyba wszystkim szczęśliwie i wszystkim pragnęły jaknajdłużej tak jechać, nie jechać, ale płynąć po powierzchni ziemi, podziwiać, jak gwiazdy niebo złota i nie myśleć, że jutro trzeba wracać do szkoły.

ADAM M. MAZUREK

ROŚNA LUDZIE...

Część pierwsza: D O M

Tak. Wszyscy przyznają tatusiowi rację. Więc co zrobić? Głowi się brat. Sypia się pomyśly. Może tak, a może inaczej. Wkońcu zaś dochodzą członkowie do wniosku, że musi być jakaś kara za niewstawianie.

Uchwalono:

Nastawi się budzik na godzinę szóstą min. czterdzieści. Każdy ma prawo poleżeć do godziny 6-ej minut pięćdziesiąt. Lecz potem — to już musi od razu wyskoczyć z łóżka. Paweł podejmuje się codziennie zapisywać, kto o której godzinie wstał. Jak ktoś wysnął nogi — nie znaczy to jeszcze, że wstał. Powinien zupełnie wyleżeć. Kto pięć razy nie wstanie na czas, odlicza mu się z pensji 10 groszy. Kto w ciągu miesiąca siedem razy nie wstanie, traci jedną rozrywkę w niedzielę, kino lub teatr. Oczywiście, nie dotyczy to Zdzicha, bo nie chodzi do szkoły.

Wie tatusz z doświadczenia, że z tą rozrywką będzie najgorzej. Jak, powiedzmy, Marek będzie musiał zostać za karę w domu, kiedy wszyscy idą do kina, to będzie tyle płaczu i łez, że już chyba nikt nie pójdzie. Proponuje więc tatusz, aby taki, co traci rozrywkę, miał prawo oddać swoją sprawę na posiedzenie. Jeśli większość przebaczy mu — to trudno. Ale przebaczyć można tylko raz na cztery miesiące.

Uchwalono i to.

Na dobre posprzeczano się, kiedy zaczęto omawiać sprawę porządków, a raczej nieporządków i śmiecenia.

Pierwszy wicep mówi, że skoro nie wymaga się teraz od dzieci pracy dla domu, bo są bardzo zajęte, to niechże przynajmniej nie utrudniają nikomu życia. Dlaczego zostawiają zeszyty i książki na stole? Dlaczego kałamarz nie odstawiony na miejsce? I dlaczego nieraz cisną palto lub czapkę byle gdzie zamiast odwieść? Przecież to bardzo denerwuje?...

Paweł zaperzył się:

— E, to już jest czeplanie się. Jak odchodzisz na chwilę od stołu, nie wolno ci książek zostawić, tylko musisz je ciągnąć z sobą? Że ta chwila przeciągnęła się — trudno. Nie można było tego przewidzieć. Miałeś coś ważnego do zrobienia... A jak odkładasz książki — też czeplają się, że odłożyłeś nieporządknie. Nieprawda, bo odłożył i porządknie. Że książki nie leżą zupełnie równo i gładko — to właśnie jest czeplaniem się. Chodzi przecież o to, żeby wogóle odłożyć. Zresztą — skoro mamie tak bardzo na tem zależy — będą od dziś wszystko robić tak porządknie, że palce liczyć...

Zapanowała wesołość.

Lecz mama jest nieprzejednana:

— Tak, tak — obiecanki, cackanki, a głupiemu radość... Ty, Paweł, jesteś zawsze jednaki. Wiemy zresztą, jaki jesteś. Przyczeknij, a potem... gruszki na wierzbie...

Oburzył się Paweł:

— No, nie mówiłem, że mama się czeplą. Jeszcze mama nie widziała, a już wie napewno, że zrobię źle... Mama właśnie zawsze...

Uspokojono się dopiero wówczas, kiedy prezes wtrącił się do

sprzeczek. I nawet pierwszy wicep „porcję“ oberwał. Bo tatusz mówi, że mama trochę zapomina, iż brat nie jest już tą samą z przed kilku miesięcy. Tatusz ma do wszystkich pełne zaufanie i pierwszy wicep przekonał się wkrótce, że brat potrafi dotrzymać słowa.

Marysia zaprotokółowała, że wszyscy zobowiązują się od dziś potrzytywać porządek w mieszkaniu, odkładać wszystko na właściwe miejsce.

Tatusz prosił dodatkowo zapisać, że jak ktoś zauważy papierek na podłodze, powinien natychmiast, bez gadania, że „to nie ja rzuciłem“ podnieść go i uroczyście, na palcach, z poważną miną i ręką na sercu zanieść do najbliższej śmietniczki...

Na każdym posiedzeniu tak się składało, że oprócz przewidzianych spraw, wylazły i inne.

Dziś naprzykład, przyczepił się Paweł do drugiego wicepa. Było co — od razu wymyśla od „smarkaczów“. Smarkacz i smarkateria... Dzieci sobie tego wcale nie życzą. Przytem, jak Antoniowej coś odpowiedzieć wzamian tego „smarkacza“, krzyczy w dodatku, że — ulicznik... A przecież zawsze sama zaczyna przezywać.

Jęła się Antoniowa tłumaczyć. To ci dopiero była uciecha. Myślano, że jak puści w ruch „katarzynkę“ — już jej nikt nie przegada. A tu — płacze się Antoniowa, jakby jej język zahaczał się co chwila o coś. Poprosto — ósmy cud świata. Drugi wicep — i żeby się język zahaczył?... Nie do wiary! Czyż nie dlatego płacze się, bo nie ma racji?

Tylko tatusz nie dziwi się i rozumie dobrze. Co innego rozmawiać z kimś jednym, a co innego przemawiać do kilku naraz. O, wtedy najwymowniejsi tracą nieraz języka w gębę! A w dodatku — kiedy trzeba się tłumaczyć, bo postąpiło się źle...

Lecz Antoniowa ma i swoją rację. Mówi, że wymyśla najbardziej przez przyzwyczajenie, niż przez złość. Już w tylu domach służyła i przez tyle lat! Więc — przyzwyczaiła się, że na małego woła się „smarkacz“, że można mu przegadać. Ale skoro sobie tego nie życzą, to ona postara się odzwyczaić od tego...

Przebachono drugiemu wicepowi z całego serca!

Aż miło, jak brat sama wstaje i na czas.

Jeden drugiego pilnuje, grozi, że straci 10 groszy, kino lub cyrk. Jeden drugiego pociesza, że tylko spoczątku tak bywa i nie chce się... Lecz później — jak się przyzwyczaić — to już wszystko jedno. A co ważniejsze — jak wcześniej wstać, ma się jeszcze czas na to, żeby w warsztacie pomajstrować, albo lekcję powtórzyć.

Raduje się mama, zadowolona jest i Antoniowa. No tak — wszystkim ten samorząd i posiedzenia.

Śmieją się dzieci z drugiego wicepa. Dawniej — byle co złego przytrafiło się — od razu wszystkiemu był winien samorząd... A teraz, jak się w domu dobrze dzieje, to Antoniowa znów swoją piosenkę śpiewa: „wszystko — samorząd“.

A mimo to —

— lichy wie, dlaczego dzieci muszą się od czasu do czasu posprzeczować! Już sobie Paweł nie raz postanowił, że nigdy przynigdy nie będzie się kłócił z Marysią, do czego ma prawie zawsze chętkę... A jednak — jakoś tak się składa, że muszą sobie powiedzieć kilka słów prawdy...

Powiedzieli i zdawalioby się — po głupstwie. Nie. W całym domu od razu humory się psują. Niby jest samorząd, niby ma być zgodne współzycie, a patrzcie, co się dzieje? Pocubili się i wychodzi tak, że już po samorządzie i po owym rajskim życiu...

Najbardziej jest zazwyczaj zmartwiona mama. Tylko posłyszysz głośniejsze gadanie, niewiedza ją dziwny niepokój i nawet strach. Jest prawie przekonana, że teraz, to już będzie koniec... Tak, wszystko powróci do dawnego, do...

O, jakże jest przykro wszystkim po takiej sprzeczce! Rzekłbyś, że nietylko mama, ale i brat i drugi wicep są tej samej myśli, że diabli wszystko wzięli, że jednak nie potrafili współżyć z sobą zgodnie... I w jednej chwili zapomniano o licznych radościach, pogodnych tygodniach, kiedy było zupełnie, ale to zupełnie dobrze...

I dziwna rzecz: cokolwiekby zaszło w domu, nie powinien się prezes o tem dowiedzieć. Nie umawiano się przecież, żeby tatusiowi nic nie mówić, a mimo to — jakby cicha umowa stanęła między wszystkimi. Niech się tylko tatusz nie dowie!

Potrzeba więc trafiać, że pewnego dnia, kiedy dom kurzył się jeszcze od kiepskich humorów, bo przed chwilą znów Paweł z Marysią... — że w takiej właśnie chwili tatusz. No tak, musiał od razu wszystko zauważyć. Swoim zwyczajem dopytuje się dowcipnie, co się stało i jak było?

Nie, mama nie mogła już tego dłużej w sobie tłumaczyć. Jęła się żalić. Nie będzie ukrywała prawdy, że dzieci maskują się przed ojcem, bawiąc się w samorząd. Jest to wielka komedia! W domu absolutnie nic się nie zmieniło!! Jak było źle, tak i jest...

I już Marysia płacze! !Pawła to denerwuje. Taka udawałka. Myśli, że święta... A że to Paweł i musi mieć rację, zaczyna więc dowodzić, ale tak, żeby obecnym w jadali przekrzyknąć i zagłuszyć, jak naprawdę było i kto jest doprawdy winien...

Wszyscy tacy zmartwieni, a tatusz — kto by powiedział — uśmiecha się. Uśmiechnął się raz i drugi, poczem złapał dzwonek i potrząsa nim gwałtownie. Posiedzenie!

Antoniowa nie mogła dłużej patrzeć na takie błazenstwo, na takie nieprzejmowanie się niczym i uciekla czempredzej do kuchni. Tam zaś zlapała się za głowę, oburzona do głębi... Co ten „pan“ wyrabia? Z dzieciaków wyrosną przecież bandyci. Jedyna rada — to prac i prac!

Smutny był początek posiedzenia.

Tylko tatusia nie opuszcza dobrego humoru:

— No, państwo, głowy do góry! Liczę do trzech: raz... dwa... trzy... Ot, tak. Doskonale. Przyjemne minki, pogodny wyraz gęb. Jak u fotografa. Właśnie. Cała rzecz, widzicie pojechać na

nieporozumieniu. Już ja to dobrze widzę. Cha - cha - cha... O, naiwności! Myśleli, że jak jest samorząd, to już mają być aniołkami... O bubki morowe, o buby bez wasek! Któż wam powiedział, że nie wolno się posprzeczować? A do czego gęba i ślina w niej? Któż wam powiedział, że nie wolno się poszturchać? Patrzcie, też się znaleźli cwaniacy... A cóż wy zrobicie z rękami? Chyba zapakować pięknie i na wystawę zagraniczną wystać?... Oj, naiwne buby, przecież ręce są do szturchania!

Mama jest wyraźnie niezadowolona z tej przemowy tatusia i krzywi się. Lecz prezes nie zważa na to:

— Kogo to obchodzi? Macie ochotę poszturchać się — niech wam to wyjdzie na zdrowie i dobre sińce... To jest wasze prawo! Ale poco od razu robić z tego tragedję i wpadać w zły humor? Nieprawdaż, Zosięno? Tylko, że widzicie, honorowy, świadomy swego zadania członek samorządu rodzinnego rozumuje tak:

No — dobrze, pocubiliem się trochę. Wiem, że bez tego nie można, bo ludzie są ludźmi i jakoś tak się dzieje, że zawsze ma ją okazję do zatargów. Tak. I ja miałem. Pocubiliem się. A teraz chcę o tem zapomnieć i w dalszym ciągu być porządnym człowiekiem, dążącym do tego, żeby tych zatargów było coraz mniej, aż wkońcu wogóle ustaną. Oczywiście — ponieważ jestem mały, nie mogę tak od razu odzwyczaić się. Lecz będę się starał.

Pawłowi śmieją się już oczywiście, jak to tatusz dobrze wykombinował. Jaki ten tatusz byczy chłop i rozumie, że trudniej nieraz dzień przeżyć bez szturchańca, niż bez uśmiechu. Przecież to ponad siły, żeby kogoś nie...

Zwolna otwierały się wszystkim gębule do uśmiechu. I mamy twarz już zupełnie pogodną. Tak, pierwszy wicep przyznaje tatusiowi rację. Dopiero teraz rozumie, że niepotrzebnie robiła tragedję z głupstw. Po dowcipnych wyjaśnieniach tatusia — szturchańce nie wyglądają znów tak okropnie i nie do zniesienia. W porównaniu wszak z tem, co dawniej było, ach...

Szkła, przez które mama patrzy na zatargi dzieci, różowieją z chwili na chwilę. No tak, co racja — to racja. Czyż mama nie przypomina sobie owych bójk i awantur? Spokojnej godziny człowiek nie miał. A teraz? Tak, Henryk ma słusność. To i cóż, że się trochę posprzeczają, że się trochę pocubią, kiedy najczęściej po chwili żyją już w najlepszej zgodzie.

A tatusz:

— Gdy przyglądam się i odnawiam w pamięci czasy, kiedy sam byłem mały, wiem napewno, że do największych awantur dochodzi właśnie wtedy, kiedy dorosli wtrącają się. Wtrąci się tatusz lub mama do sprzeczki i zdaje im się, że są potrzebni do szczęścia, że bez nich dzieci zamordują się... A to nieprawda. Jak tylko czubiacy się widzą, że dorosły się wdaje, od razu walą się zawzięcie, płacząc głośnie, udają strasznie pokrzywdzonych — to wszystko zaś poto, żeby dorosły jednemu z nich przyznał rację i ujął się jego krzywdy. Pamiętam dobrze, że kiedy byłem smykem i waliłem się, wzbierała we mnie zawsze straszna energia na widok zbliżającej się mamy i grzmocilem z całych sił, licząc na jej poparcie i wstawienie.

A jak w dodatku mama rzeczywiście stanęła po mojej stronie — no, to miałem już zwycięstwo i tryumf w kieszeni... Uśmiecha się brat. Och, ten tatusz — jakby w myślach siedział.

— Tak, tak moi drodzy. Naj-

lepiej jest, żeby się nikt z dorosłych nie wtrącił. Macie zatargi, ale cóż sobie zrobicie. Najwyżej jeden drugiemu wysypie trochę szturchańców, wytarza się z nim po podłodze, po godzinie zaś będą... dobrymi przyjaciółmi... Jak dzieci. Lecz gdy się dorosły wtrąci, rośnie w nich zawziętość i już będą chyba napewno wrogami na śmierć i życie...

Paweł nie może usiedzieć spokojnie. Wiercił się tak długo na siedzeniu, aż prezes zauważył to i pyta, czy chciałby coś powiedzieć.

Owszem, Paweł jest tego samego zdania, co i tatusz. Opowie dzieło, że miał już dawniej rozmowę z mamą o bójkach. Ale cóż — mama wysmiała go wtenczas i nawet zagroziła, że odbierze ze szkoły, bo uczą tam, że wolno się bić.

— No, no, Pawelku — śmieje się tatusz — znamy się dobrze. Daruj, ale świętym to ty już nie będziesz... Żeby się odzwyczaić, proponuję, abyśmy zapisywali swoje sprzeczki i szturchańce. Można naprzykład wywiesić listę w jadali. Oczywiście — sami rozumiecie, że nikomu niczem to nie grozi, nawet, gdyby miał tego dobrego coniemiarą. Poprosto — każdy zapisze tylko na liście, że pobił się z tym a tym. A jak zapisze, zapamięta i postara się mniej czupurzyć i kogucić.

Projekt tatusia spodobał się. Nawet Zdzicho był zadowolony, choć najwyżej prawie obrywał i najgorzej jest mu z tem pisanem. Biedactwo, swoje imię potrafi już nagryzmolić, jadąc najczęściej pod górę... Ale więcej — to nie.

Marek powiedział, że w warsztacie wykonają tablicę, na której powiesi się listę. Brawo, Marku! Tatusz zaś dodał, że warto wykonać większą tablicę, bo można byłoby na niej wywiesić inne listy. Naprzykład tę z projektami, dokąd mają pójść w niedzielę.

Zdzicho zazdrości bardzo tym wszystkim, którzy umieją pisać i czytać. Sam dopiero w przyszłym roku zacznie chodzić do szkoły.

Zdzicho chciałby już teraz umieć, bo doszedł do wniosku, że to się bardzo przydaje. Wywiesza się listy na tablicy, zapisuje projekty, a on ani przeczytać potrafi, ani zapisać nie umie i zmuszony jest często prosić o to kogoś. Więc — chce się bardzo uczyć.

Lecz mama powiada, że ma czas na naukę i że jeszcze nieraz znudzi mu się ona. Mimo to — cieszy ją ten zapal. W dodatku zaś zauważyła, że Zdzicho jest zdolny. Wystarczy pokazać mu jakąś literę, żeby ją od razu zapamiętał. Kiedy spaceruje z nim, przygląda się zawsze dużym literom na szyldach i reklamach świetlnych, pyta, jak je należy wymawiać odczytywać, a potem to już sam, powolutku i z trudem składa je w sylaby.

Dotarła ta sprawa do tatusia. Zdzicho błaga, żeby go uczyć. Obiecuję, że zawsze będzie chciał i że zawsze odrobi lekcję.

Ślucha tatusz tych zapewnień, słucha, zastanawia się i ma już projekt: Właściwie, jak chce się uczyć, dlaczego mu tego bronić? I dlaczego ma go uczyć ktoś obcy, skoro mogłaby to uczynić z powodzeniem Marysia? Rozumie się, że nie powinna robić tego tak sobie, na próbę, z laski. Z tego by nie było. Pokaże Zdzichowi raz i drugi literę, a potem znudzi się jej to i będzie po całej nauce. Nie. Marysia otrzyma wynagrodzenie. Za codzienną lekcję piętnaście złotych miesięcznie. Pieniądze przydadzą się jej. Tak, weźmiemy tę sprawę na posiedzenie. Niech się członkowie wypowiedzą.

(D. c. n.)



POWÓDZ W SZKOLE.

15 stycznia poszłam poraz pierwszy po wakacjach zimowych do szkoły. Po drodze spotkałam koleżanki, które już wracały do domu. Byłam bardzo zdziwiona i spytałam, co się stało.

Koleżanki powiedziały, że w szkole pękła rura i woda zalała parter i naszą szatnię. Zaniepokojona przyspieszyłam kroku, aby być jaknajprędzej w szkole. Nie mogłam jednak dostać się do środka, bo nikogo nie wpuszczano.

Nazajutrz pani wytlomaczyła nam powód katastrofy. Otóż pod wpływem silnych mrozów woda w rurze zamarzała. Po ogrzaniu lód rozepchnął ściany rury i woda zaczęła wyciekać. Po długich poszukiwaniach znaleziono uszkodzoną rurę. Przez ten wypadek szkoła poniosła duże straty.

Z o f j a C z.

SPROSTOWANIE.

W Małym Przeglądzie, w dziale „Co u nas słychać?” był list Stasia z Nowolipek p. t. „Szukamy prospektów”. Stasiek zarzucał mi, że ja wszedłem do poselstwa, dostawałem prospekty i nie chciałem się z nim podzielić. To jest niezgodne z prawdą, gdyż ja prospektów nie dostałem. Stasio oczernił mnie brzydko w gazecie.

R y s i o z Ogrodowej.

POMARAŃCZE STANIAŁY.

Na każdym kroku widzi się teraz koszyki i wózki: wszyscy sprzedają pomarańcze.

Do słodkich, malinowych, po 20 groszy! Kupować, kupować, pieniędzy nie żałować, bo tańsze niż chleb!

Jedni kupują, drudzy nie, jedni targują się, drudzy płacą odrązu. Jakaś pani poprzewracała wszystkie pomarańcze i nic nie kupiła.

— Co, za takie pomarańcze chce pan 20 groszy? One i 10 nie warte.

— To niech pani nie kupuje.

— Naturalnie, że nie kupię — i oddała się.

Obok tego wózka stoi jeszcze jeden wózek. Tutaj pomarańcze kosztują po 15 gr. Więc sprzedawcy kłócą się:

— Te, będziesz mi konkurencję robił, ja cię nauczę!

— Odsuwaj się stąd, ale już — i naturalnie już się tija.

Dalej stoi inny sprzedawca, ale „niego” nikt nie kupuje, bo każdego obraża.

Nachodzi policjant, robi się ruch i wszyscy uciekają. Wtem spotykam kolegę:

— Nie cieszysz się, pomarańcze staniały!

A kolega odpowiada:

— Ten, co dawniej mógł kupić pomarańczę za złoty, będzie teraz kupował po 20 groszy, a kto dawniej nie miał złotówki, teraz 20 groszy także nie będzie miał. Lepiej, żeby bućki albo pałta staniały, to każdy biedny będzie ładnie ubrany.

P. S. Przepraszam Ryśka za nieścisłość w liście: „Szukamy prospektów”.

S t a s i o z Nowolipek.

PRZESTANIE KATOWAĆ.

Obok szpitala zobaczyłam tłum

ludzi, a w środku stała dorożka z koniem.

Różne myśli przychodziły mi do głowy: może przywieźli chorego do szpitala, może koń kogoś przejechał, a może w tej dorożce przyjechali krewni po zmarłego. Zaraz wyniosą trumnę, krewni wsiądą do dorożki i pojedą na cmentarz.

Podeszłam z bijącym sercem. Tu zobaczyłam, jak woźnica bił niemilosierdzie konia. Koń wiergał nogami i nie mógł ruszyć się z miejsca. Z dorożki wysiadły dwie panusie, otulone w futra, i były bardzo złe na konia.

Nie mogłam na to patrzeć. Denerwowało mnie, że ludzie gapią się i nikt nie obroni konia. Uciekłam do domu. Ciągle słyszałam świst bata. Byłam zła. Trzasnęłam drzwiami i dostałam burę.

Dlaczego bili konia? Za to, że wozi ludzi? Że ciągnie wielkie ciężary? I dlaczego ja ciągle słyszę świst bata?

Chciałam wyjść z domu, żeby się przekonać, czy dorożka jeszcze stoi. Zarzuciłam pałto i wybiegłam na dwór.

Spojrzałam w stronę szpitala. Zrobiło mi się lekko na sercu, jakby mi kto kamień zdjął. Nie było tam już konia ani zbiegowiska. Na miejscu konia stało dwóch ludzi: byli to policjanci.

D i t a z Pińska.

ROZMOWY NAJMŁODSZYCH.

(O t w o c k).

Mirka: — Niedawno przyjechałam do Otwocka, ale zostanę tu na stałe. Tutaj wszyscy chodzą w długich, narciarskich spodniach i bluzach, i czapki także noszą granatowe. Wyglądają ładnie i ja marzę, żeby także mieć taki strój i narty.

Josek: — Daję słowo, że Otwock jest piękny. A kasyno — to chyba najpiękniejszy dom na świecie. Mówią, że Warszawa jest także ładna, ale ja nie wiem, bo tam nigdy nie byłem, a Otwock bardzo kocham.

I jeszcze coś: zawsze idziemy z kolegami do domu, gdzie mieszka reporter Małego Przeglądu. Jego kancelaria jest naprawdę ładna, zupełnie jak w biurze. Ale raz zrobiłem mu kawał i zamiast listu, wrzuciłem patyk do skrzynki.

Mirka: — Dosyć, ja opowiem o kinie, bo często chodzę tam z tatusem.

Miecie: — Ty już mówiłaś, więc teraz ja opowiem: Nasze kino mieści się w dużym budynku. Jest scena i prześcieradło. Jak się robi ciemno, nie wiemy skąd pokazują się na prześcieradle obrazki. Ludzie na tem płótnie poruszają się, wozy jadą, a niektórzy rozmawiają i wszystko słychać, tylko nic nie można zrozumieć.

Hania: — A ja wstaję o 7-ej, zjadam śniadanie i biegnę do szkoły. Nasza szkoła jest duża i ładna. Pani jest dobra, więc prawie wszyscy uczą się doskonale. Na każdej lekcji jest spokojnie, tylko na religii nie. Pan złości się, tupie nogami, ale to nie nie pomaga.

Po lekcjach z krzykiem wybiegamy do szatni. Tutaj niektóre dzieci robią bałagan, bo depczą po pietach, pałtach, aż ich woźny Piotr przegania.

Po obiedzie idę na własną ślizgawkę, którą z koleżanką same zrobiłyśmy. Na inne ślizgawki rodzice nie pozwalają mi chodzić, więc ślizgam się na własnej.

Później odrabiam lekcje, jem kolację i idę spać.

Itka: — Jasio bez kamasza — tak go przezywają — to mały człowieczek. Chodzi w podartym ubraniu. Najczęściej spaceruje po Kościelnej, a dorożkarze zaczepiają go, biją, śmieją się i nazywają warjatem.

Miecie: — On wcale nie warjat, tylko nieszczęśliwy. Niektórzy dają mu paczki, żeby im odniósł do domu.

Itka: — I nigdy nie nosi butów.

Hania: — A ja przyglądam się pacjentom, którzy przychodzą do mego tatusia. Rozkładają ubrania na wszystkich krzesłach, robią nieporządek. Małe dzieci naj-

częściej płać. Czasami przychodzą dorośli i tak strasznie kaszlą i pluja. Tatus nie pozwala zbliżać się do nich. Mówi, że mają gruźlicę, i że to jest straszna choroba.

Josek: — A jak ja czasem kaszlę i wypływam ślinę, to też mam gruźlicę?

Hania: — No pewnie, ale zresztą, nie jestem pewna, zapytam tatusia. I jeszcze mówią, że z innych miast przyjeżdżają do nas właśnie chorzy.

Mirka: — Bo w Otwocku jest zawsze świeże powietrze.

Miecie: — Dlaczego?

Josek: — Tak, ja czytałem przy dworcu taki szyld: „Stacja klimatyczna i uzdrowskowa”, ale nie wiem, co to znaczy.

Miecie: — Mnie się zdaje, że klimat, to jakieś powietrze, a uzdrowsko — to coś o zdrowiu. (Zebrał reporter Szlamek).

Mamy własną ślizgawkę

Przypadek chciał, że wyjrzawszy pewnego pięknego poranka na podwórko, wypowiedziałam te słowa:

— Tu można urządzić ślizgawkę.

Abyście zrozumieli dalszy ciąg, muszę wyjaśnić: mieszkamy na parterze; w odległości siedmiu kroków od naszych okien stoi wysoki mur. Mur ten zamyka podwórko. Wyjście na nie posiadamy tylko my. Nazajutrz rozpoczęła się „kampanja lodowa” jak określił Sewek (Sewek wogóle ostatnio wyraża się bardzo inteligentnie). Udział w tej „kampanji” brali:

Janek — lat sześć — mój kuzyn.

Józiek — lat dziewięć — mój kuzyn.

Halinka — lat dwanaście — moja siostrzyczka.

Sewek — lat dwanaście — mój kuzyn.

Otworzono naosć balkon. Mama podniosła lament: „wy mnie do grobu wpędzicie. Ja chodzę z gryppą, a wy wypuszczacie mróz do pokoju”.

Przedewszystkiem należało zatkać ściek, żeby woda nie odpływała. Sewek boksuje się doskonale (szczególnie ze mną), ale w tym wypadku musiał się ukorzyć przede mną. Ponieważ jego usiłowania były daremne, musiałam własnoręcznie i własno- nożnie zatkać kanał kuchenną ścieką od podłogi. Okazało się jednak, że i to nie wystarczy. Nie pomogła też nieszelnie przylegająca deska. Woda przeciekała. Wtedy Halinka wpadła na genialny pomysł: na desce ustawiono Józka i Jankę, którzy z całych sił przyciskali deskę do szmaty.

Można było przystąpić do sprawy najważniejszej: w jaki sposób wprowadzić na podwórko potrzebną ilość wody? O sikawce mowy być nie mogło. Postanowiono, że ja wejdę do domu i przez okno w jadalni będę wydawała wodę kubelkiem.

Uchwalono, wykonano. Zaczęła się wędrowka z kubłem wody w rękach z kuchni przez przedpokój do pokoju, z pokoju przez przedpokój do kuchni — już z pustym kubłem.

Każdy rozumie, że pomimo najusilniejszego starania, kapnęło na froterowaną posadzkę dwie, najwyżej trzy krople wody. Ale za te trzy krople spadła na mnie taka burza, że zupełnie nie wiedziałam, gdzie się podziać.

— Panienska, to wcale ludzkiej pracy nie szanuje. Chłapie i chłapie.

— Przecież to tylko dwie krople! — krzycze głośno, ale wiem, że ona ma rację.

Niech panienska ludziom oczu nie zamydla. My już doskonale znamy się na kropkach (nawiasem mówiąc właśnie na kropkach nie zna się wcale, bo raz, zamiast kropki inoziemcowa, wlała mi do szklanki krople goździkowe, które o mało się nie otrułam). Toż ludzi serce boli. Pracuje się, pracuje. A tu przychodzi taki próżniak i wszystko psuje.

Stałam się purpurowo - fioletowa: wszysko można mi zarzucić, tylko nie próżniactwo.

Zresztą i mnie zaczynała ta cała impreza coraz bardziej złościć. Wylano już chyba dziesięć kubłów wody, a tu nic, tak, jakby ktoś napluł. Na dobitkę okazało się, że trzeba będzie jednak sprzątnąć śmiecie, które, Bóg wie skąd tu się nagle wzięły. Wydałam przez okno szczotkę, która po kilku minutach wyglądała, jak mokra ścierka, przyszyły zaś lód nabrał koloru błota.

Zamierzałam już zrezygnować z lodowiska, gdy zjawił się Heniek. Heniek jest mądry i dowcipny.

— Heniek, co zrobić? Gdyby była sikawka!

— No to weź rurę od gazu — odpowiada spokojnie bez śladu uśmiechu.

Mama wybuchła śmiechem, służąca chichocze.

— Nie, muszę ją schować, żebyś się miał na czym powiesić. Wyglądamy przez okno. Nagle Heniek puka w szybę i radzi poważnie:

— Niech każdy pluje, ile może!

Halinka ma oczy pełne łez, a ja już sił nie mam. Wydaje jeszcze jeden kubelek wody.

— Heniek, zdejmiesz kocioł z kredensu, nalesz weń wody i wyniesiesz im na podwórko.

Heniek wykonał rozkaz, ale kubek wylał tak niefortunnie, że Janek i Józiek stanęli po kostki w wodzie.

To dopełniło miarki: Janek jest po zapaleniu oskrzeli. Pomimo najgłośniejszych protestów ze strony wszystkich, cała banda na rozkaz mojej mamy musiała wejść do mieszkania.

Kto nie wierzy, niech nie wierzy, ale po dwóch dniach była ślizgawka, ciasna, niezbyt równa, ale własna.

W i t a.

Historia drewnianego stołka

Była stara, siwa niania. I były bajki. Jedne piękne, smutne, inne straszne. I były duchy — dobre i złe. Dobre duchy mieszkaly w ścianie stołowego pokoju, a złe — sypialnego. Dobrych nigdy nie widzieliśmy, bo ukazywały się tylko w nocy, a złe straszyły w dzień.

— Wiesz, — mówił brat do mnie, — widziałem tej nocy dobrego ducha.

— Jak wyglądał?

— Nno, naprawdę o nie widziałem, ale słyszałem najwyraźniej, jak chodził i przestawiał krzesła.

— Przysięgnij!

— Niech zamienię się w murzynę! Niech ze mnie zdejmą skalp! Niech mnie rozszarpie lew, — jeśli kłamie. Wierzysz? Wkrótce zapomnieliśmy o duchach, bo zjawił się stołek.

Pomalowano go na czerwono. Spróbowałam, czy dobrze na nim siedzieć, no i... wielka była plama na sukience, i wielka awantura.

Wogóle często bywały przez niego kłótnie i bury.

— Ja dziś siedzę na stołku!

— Nie, ja siedzę.

— Właśnie że ja.

— Ja już siedzę!

— Zaraz będziesz leżeć.

— Tylko spróbuj!

Czasem kończyły się bójką, a czasem jeden ustępował drugiemu.

— Siedź przy obiedzie, ale ja przy kolacji.

Raz stołek nas porządnie wyspał. Zrobiliśmy wyprawę po konfitury. Matka stawiała je wysoko, na szafie. Niesposób się dostać. A naco stołek i głowa na karku? — Mietek wlaź na stołek, ja na niego, trochę stękam, ale już mam słoik. Wszystkie palce zanurzam w konfiturze i oblizuję.

— Dosyć, teraz ja! — niecierpliwi się Mietek.

I tak na zmianę. Aż kilka kropel padło na stołek. Nie zauważyliśmy.

— Zjedłście konfitury! — krzyczy mama.

— Nie.

— A dlaczego stołek zachłapany?

— Może duchy? — przyszła nam zbawienna myśl.

Niestety, dorośli dawno przestali wierzyć w duchy.

Patrzę na ciebie teraz, mój stołku, a ty przywołujesz wspomnienia.

Byłeś naszą jedyną i najdroższą zabawką. Nie oddalibyśmy cię nawet za wszystkie cacka z wystawy bogatych sklepów.

Pamiętasz, jak bawiliśmy się w samochód, jak szukaliśmy kierownicy, by z tryumfem, pokaleczywszy przedtem ręce, oderwać koło od wózka?

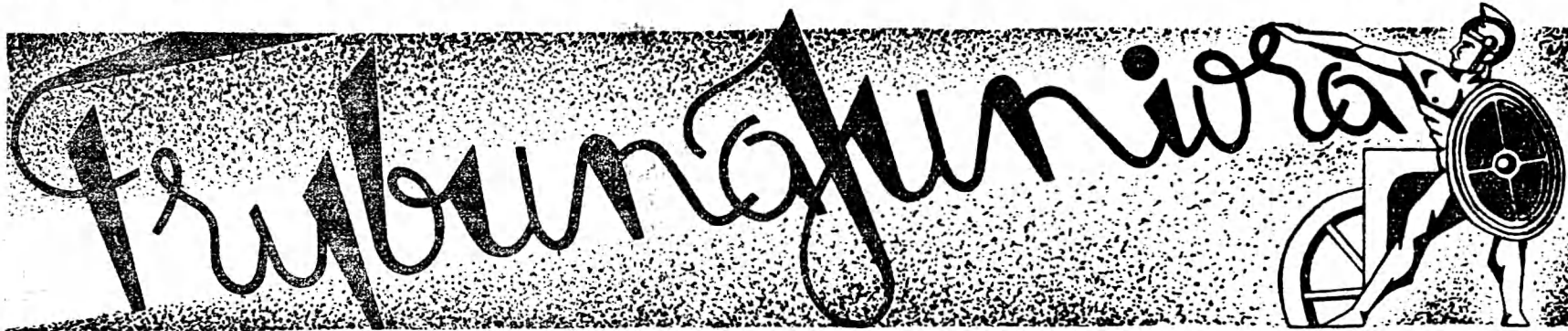
Jakie było nasze zmartwienie, gdy nie mieliśmy „paku”, bo „co za samochód bez paku”. Stukaliśmy wtedy szybę i kieliszek. Czempredzej staraliśmy się potem zasnąć, by dopiero rano usłyszeć:

— Mój Boże, nie do wytrzymania z temi dziećmi...

Jesteś moją najdroższą pamiętką.

B r o n k a





Sport zawodniczy a wychowanie fizyczne

Podczas Walnego Zjazdu T-wa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych prof. Piasecki wygłosił referat na temat: „Kultura fizyczna a wychowanie narodowe”.

Referent uważa sport zawodniczy i „olimpizm” za szkodliwy dla społeczeństwa, bo zamiast do rekordów powszechnych, prowadzi do rekordów jednostek. Wychowanie fizyczne powinno być powszechne. Jednak w szkolnictwie powszechnym istnieje ono tylko „na papierze”, w średnim jest mało skuteczne, a w wyższym dopiero zaczyna się rozwijać.

Jeśli chodzi o popularyzację sportu na terenie szkół — zgadzam się z autorem w zupełności. Już niejedna szpała na ten temat została zadrukowana. Właśnie dobrze się stało, że słowa te zostały wypowiedziane wobec takiego audytorium. Ale co do szkodliwości „olimpizmu” — to wybacz mi p. profesor, ale nie mogę się z tem zgodzić.

Słuszne jest, że sport powinien się rozwijać przede wszystkim wszędzie. Ale przecież znajduje się pewien procent sportowców, którzy, może nawet mi-

mowali, uprawiając tylko sport, będą osiągać coraz to lepsze wyniki. A współzawodnictwo, chociażby tylko z czasem czy z samym sobą tak pociąga, że nie sposób się temu oprzeć. Czy chęć wydobycia z siebie jaknajwiększej szybkości i zręczności, chęć ulepszenia, doskonalenia swoich organów, ruchu, mięśni i zmysłów, tak samo, jak dążność do doskonalenia np. radja i telegrafu, może być szkodliwa dla społeczeństwa?

Przecież mimo największej propagandy trzy czwarte społeczeństwa napewno nie dałoby się wciągnąć w ten „olimpizm”. Owszem, przyznam, że przesadna specjalizacja i jednostronność jest szkodliwa. Przyznam również, że wysoce niezdrowe są różne afery, dotyczące się dokoła sportu. Ale wychowanie fizyczne, połączone ze współzawodnictwem w szlachetnej formie, i dążenie do rekordu własnego, a nie światowego, czy krajowego, nie tylko nie jest szkodliwe, ale nawet jest doskonałym czynnikiem wychowawczym. Dlaczego — zdaje się zbyt — dowodzić.

K. H.

Sport w szkołach

(Gim. Im. St. ŻEROMSKIEGO).

W porównaniu z pomyślnym stanem roku ubiegłego poziom prac Koła Sportowego na terenie gimnazjum dotkliwie obniżył się. Tem niemniej jednak poszczególne dziedziny sportu stoją pod znakiem doskonałych wysiłków.

Należy tu przede wszystkim wymienić strzelectwo, w którym gimnazjum dźwizgał prymat. Dzięki pełnej energii i zapału pracy instruktorskiej pani Wandy Słazyny, Koło Strzeleckie staje się najbardziej popularnym na terenie szkoły, zdobywając sobie jednocześnie rozgłos na zewnątrz (Międzyszkolne Zawody Strzeleckie). Trzeba nadto podkreślić fakt, że do Koła Strzeleckiego garna się najchętniej i pracują najgorliwiej — najmłodsi koledzy z klasy I i II gimnazjalnej.

Królowa sportów — lekkoatletyka spada wobec tego do roli drugorzędnej, mimo, że nie brak wcale talentów nieposłednich. Należy tu przede wszystkim wymienić długodystansowca — Rethego, sprintera — Szyperskiego oraz „genjuszów” w innych konkurencjach w osobach Cytowskiego, Średnickiego i Ziółkiewicza. Z żydów jedynie Majzner osiąga mniej więcej normalny poziom.

Największym powodzeniem na terenie gimnazjum cieszą się gry

sportowe, dzięki szczególnej opiece, jaką tę dziedzinę otacza p. prof. Świszcz. Reprezentacje koszykówek i siatkówek osiągnęły wysoką klasę, czego dowodem było zajęcie drugiego miejsca w koszykówce w turnieju Kuźni Młodych. Obecnie koszykarze i siatkarze trenują w Ośrodku W. F.

Pływanie znajduje swoich mocnych reprezentantów w osobach Ziółkiewicza, Szymalskiego, Jonakowskiego i inn., mogących się poszczycić zajęciem szeregu pierwszych miejsc na Międzyszkolnych Zawodach Pływackich.

Sporty zimowe stoją pod znakiem znakomitego niedołęstwa. Zwłaszcza drużyna hokejowa odznacza się poziomem, który jej nie pozwala na rozgrywanie spotkań, wobec całkowitej nieumiejętności prowadzenia krążka.

Wskutek zdecydowanej postawy p. dyrektora Wojeńskiego zostało szczęśliwie zażegnane niebezpieczeństwo założenia sekcji bokserskiej. Natomiast pan Dyrektor poparł owocnie sekcję hokejową i strzelecką.

Ponadto bardziej wyrobieni sportowo koledzy, przybywający z innych szkół, przyczyniają się do podniesienia poziomu sportu w naszym gimnazjum.

M. K.

KRONIKA

—:— Na terenie okręgu krakowskiego, zgodnie z opinią Ministerstwa W. R. i O. P., Rady Naukowej i P. U. W. F. powstały szkolne kluby sportowe. Do klubu

tych mogą należeć uczniowie szkół średnich, którzy osiągnęli minimum, ustalone przez zarząd szkolny klubów. W najbliższym czasie takie szkolne kluby

Czy ping-pong jest sportem?

Nie znam kolegi H—n, ale jestem przekonany, że nie gra on w ping-ponga i zdaje się, prawdziwej gry nie widział. Taki pogląd urobiłem sobie, przeczytawszy jego artykuł p. t. „Czy ping-pong jest sportem”. Sam jestem zwolennikiem ping-ponga i to nie tylko teoretycznym, gdyż z zamiłowania uprawiam tę grę. Postaram się więc kolejno odpowiedzieć kol. H—n na stawiane przez niego zarzuty, wychodząc z założenia, że ping-pong jest sportem.

Primo, kol. H—n pisze: „W ping-pongu jest tylko współzawodnictwo, natomiast nie wpływa on absolutnie na rozwój fizyczny”. — Czy tak jest rzeczywiście? Czy wychowanie fizyczne polega tylko na rozbijaniu się po boisku? Czyż gracz nie wysiła się fizycznie przy ping-pongu? Naturalnie w mniejszym stopniu, niż przy piłce nożnej lub tenisie, ale napewno więcej, niż przy strzelaniu, które uznano za sport. Uważam, że współzawodnictwo, oparte na wysiłku fizycznym, nie jest niezdrowe.

Secundo: „Ping-pong absolut-

nie nie wpływa na rozwój fizyczny gracza”. Drugi punkt sporny. Chłopiec (dziewczynka) o słabej kondycji fizycznej, może na racjonalnym treningu ping-pongowym skorzystać o wiele więcej, niż nadwyrężając serce np. w koszykówce. Niesłuszne jest bowiem mniemanie, że ping-pong wpływa tylko na rozwój mięśni jednej ręki. Gra się całym ciałem. Zatrudniam, przekładając rakiety, obie ręce, nogi, gdyż jestem cały czas w ruchu; tułów, gdyż ruchy rąk powodują i jego pracę.

Tertio: warunki gry. Słusznie, że „duszny, natłoczony pokój nie nadaje się na teren do gry”; tylko nieliczni dysponują innym. Ale od tego jest w szkole świetlica i zresztą zawsze znajduje się kolega, u którego można grać w sprzyjających warunkach.

Pozatem nie słyszałem o nieprzychylnym ustosunkowaniu się Kuratorium do ping-ponga. Przeciwnie, w większości gimnazjów organizowane są oficjalne mistrzostwa z nagrodami i dyplomami.

W i k t o r z Zamościa.



By sportowe mają powstać również w Warszawie.

—:— Odpowiedź Abramowi F. (Tomaszów Maz.): Mały Przegląd interesuje się tylko sportem młodzieży.

—:— Odpowiedź Tadekowi Sz.: Twój artykuł p. t. „Młodzież w sporcie polskim” dla Małego Przeglądu nie nadaje się. W sprawie dalszej współpracy możesz porozumieć się z Kubą H. w redakcji w niedzielę, w godzinach przyjęć.

GRY SPORTOWE.

Pierwszy w tym sezonie międzyklubowy mecz koszykówki, rozegrany na sali Ośrodka W. F. pomiędzy reprezentacjami gimn. inż. J. Finkla a „Spójnią” zakończył się zwycięstwem pierwszego w stos. 33:19. (15:12). Drużyny wystąpiły w mocno osłabionych składach. „Finklowcy” jedynie z trzema graczami pierwsze go zespołu, „Spójnia” bez dwóch reprezentantów. W pierwszych minutach gry przewagę ma „Spójnia”, która prowadzi nawet 12:3. Od tej chwili jednak gracze gimn. inż. Finkla opanowują się i w przeciągu kilku minut zdobywają sześć koszy (12 pkt.) Po zmianie stron zwycięscy są już panami boiska i wygrywają w dość dużym (33:19) stosunku, jeśli zważyć, że grano 2 razy po 10 min.

Koszykarze „Spójni”. Jak również gimn. inż. Finkla poczynili od zeszłego roku ogromne postępy. Zwycęscem nie można nic zarzucić. Chyba tylko to, że nie dbają o wyszkolenie młodszych klas, na które już za kil-

ka miesięcy spadnie obowiązek obrony imienia najlepszej ze szkół żyd. w koszykówce. Najlepsi w drużynie Goldszajn i Rozenbaum dobrze wypadli również Frajman. „Spójnia” natomiast jest słabo wyszkolona technicznie. Szwankują podania i rzuty. Wyróżniają się Frenkiel i Kołobielski, który jednak, jak i pozostali gracze, zbyt często kozłuje i to aż na wysokości twarzy. Takie akcje nie mogły mieć powodzenia zwłaszcza w grze z drużyną gimn. inż. Finkla, której obrońca, Sztern, jest specjalistą od odbierania piłki kozłującemu. Sędziował trochę nieważnie p. B. Prusak.



ROZWIĄZANIA Z NUMERU POPRZEDNIEGO.

rebusik : aula.

kwadrat magiczny :

7	2	1	2
2	2	0	1
1	0	7	2
2	1	2	1

LOGOGRYF.

Nadesłał Moniek Openheim.

		1		
		2		
		3		
		4		
		5		
		6		
		7		
		8		
		9		

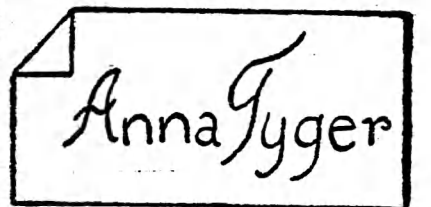
W krótkach umieścić litery tak, aby powstało 9 wyrazów pięcioliterowych o podanym niżej znaczeniu. Litery oznaczone cyframi, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

- 1) rzemieślnik,
- 2) plakat,
- 3) ziemie leżące blisko granicy,
- 4) drzewo południowe,
- 5) masa plastyczna,
- 6) drzewo,
- 7) byk amerykański,
- 8) ryba drapieżna,
- 9) droga.

BILET WIZYTOWY.

Nadesłała Zofia Weltówna.



W jakim kraju mieszka właścicielka?

ZARTY.

NAUCZY GO.

Policjant (złapawszy chłopaka na kradzieży): Czeka, nauczę ja cię kraść!

Chłopak: Och, będę panu bardzo wdzięczny, bo sam w żaden sposób nie mogę się nauczyć, żeby mnie nie przylapano.

ZIMNA KREW.

Do składu wyrobów metalowych przychodzi klient i prosi o duży mocny kubek. Przez dłuższy czas nie może sobie dobrać odpowiedniego: jeden jest za duży, drugi za mały, trzeci za mało mocny i t. d. Wreszcie wybiera jeden, po dłuższym targowaniu się, płaci i daje polecenie:

— Tylko proszę mi to natychmiast odesłać! Bo u mnie właśnie się pali.

OBURZONA.

Tatusz zaprowadził 7-letnią córeczkę i 5-letniego synka po raz pierwszy do ogrodu zoologicznego. Dzieci są zachwycone i oczarowane. W żaden sposób zwłaszcza nie mogą się rozstać z ślicznym i dużym osiołkiem.

— Spójrz, wola chłopczyk do siostrzyczki, ten osioł jest taki duży, jak tatus!

— Ależ, odpowiada oburzona dziewczynka, co też ty wygadujesz! Na całym świecie niema takiego dużego osła, jak nasz tatus!